Zeszyt 1. Rok I.

Kwiaty Powieściowe

Lwów 1. Lutego 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie 7 zł. 40 ct. — półrocznie 3 zł. 70 ct. — kwartalnie 1 zł. 85 ct. Z przesyłką pocztową rocznie 8 zł. — półrocznie 4 zł. — kwartalnie 2 zł. Za granicą rocznie 16. marek.

Adres administracji: Lwów, ulica Jagiellońska l. 16. (Kantor „Drukarni Polskiej").

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 6 ct. od wiersza petitowego.

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

ŁAMIGŁÓWKA.

sto — wicz — y — li — ne — ba — dża — sy — don —
ker — ri — cho — ver — yon — au — to — gan —
ski — si — na — now — cel — ła — ni — da — bu —
bu — do — e — or — zor — zo — mo — e — wa —
ru — no — fo — to.

1. W niższej Austryi miasto nie nowe,
Słynie przez wielkie targi zbożowe.

2. Miasto w Szwajcarji, którego zamek
Zdała turystom świeci z gór ramek.

3. Ten tu fizyków ojcem się mieni —
Wynalazł próżnię, lecz nie w kieszeni.

4. Tak departament zwie się i rzeka,
Która francuską ziemię przecieka.

5. Tej tu potrawy, choć nader smaczna
Nazwa ormiańska dziwnie opatrzna.

6. Wśród dyplomatów szukaj go grona,
Działania jego znane nasiona.

7. Z głośnego sławny on atentatu;
Do dziś te bomby znane są światu.

8. Niejedna z panien nie będąc kanią,
Chce by jak na tę, lunął deszcz na nią.

9. Wielki król wschodni, bojownik tęgi,
Sprawił on żydkom nie lada cięgi.

10. Młody bohater i izrajlita —
Powieść tę znaną pisała kobieta...

11. Małe owady a kłują nieznośnie —
Znane są w krajach, gdzie palma rośnie.

Akrostych początkowy i końcowy dają znane przysłowie.

Palindrom.

Wprost marynarza kochanka jedyna,
Kiedy już w okół tylko przestrzeń sina;
Wspak nieprzyjemna, każdy zna ją przecie,
Tak młody, stary, jak najmniejsze dziecię.

Za rozwiązanie powyższych zagadek przeznacza się dla prenumeratorów „Kwiatów powieściowych", **4 tomy powieści Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem".** Premję tę otrzyma pierwsze wylosowane rozwiązanie.

Prospekt na odwrotnej stronie.

„KWIATY POWIEŚCIOWE"

Tygodnik belletrystyczny.

Nowe to pismo przynosić będzie oryginalne powieści i nowelle naszych najcelniejszych autorów, najnowsze powieści światowej sławy obcych pisarzy, poezje, i pogadankę jednego z naszych humorystów podpisaną pseudonimem „Plotkarz".

„Kwiaty powieściowe", przynosić będą regularnie trzy powieści, mianowicie dwie powieści dłuższe i jedną nowellę, lecz przynosić będą rzeczywiście jedynie kwiaty literackie. Każdy numer składać się będzie z półtora arkusza dużego in 4-to i okładki, na której mieścić się będą łamigłówki, szarady, zadania konikowe itp. za rozwiązanie których wyznaczone będą znaczne premje, i tak: za rozwiazanie zadań w 1-szym numerze przeznacza się jako premję 4 tomy powieści Sienkiewicza **„Ogniem i mieczem"**, za drugi numer caloroczny abonament na pismo humorystyczne **„Śmigus"**, za trzeci ozdobnie oprawne wydanie **„Antologji poetów polskich"**, za czwarty **kompletne wydanie dzieł A. Mickiewicza** i t. d. Redakcja chcąc zrównać prawa abonentów prowincjonalnych z miejscowymi, zarzuca dotychczasowy system premiowania najpierwej nadesłanego dobrego rozwiązania, natomiast będzie urządzać co piątku w lokalu redakcyjnym losowanie nadesłanych rozwiązań, i pierwsze wyciągnięte otrzyma premię naznaczoną.

Warunki prenumeraty:

WE LWOWIE	rocznie	**7** złr.	**40** ct.
„ „	półrocznie	**3** „	**70** „
„ „	kwartalnie	**1** „	**85** „

Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ	rocznie	**8** zł.
„ „ „	półrocznie	**4** „
„ „ „	kwartalnie	**2** „

Adres wydawnictwa:

Administracja „Kwiatów powieściowych"

Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.

NA OKAZ.

Zeszyt 1. Rok I.



Lwów 1. Lutego 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi:
we Lwowie rocznie zł. 7·40 — półrocznie zł. 3·70 — kwartalnie zł. 1·85.— Z przesyłką pocztową rocznie 8 zł. półrocznie 4 zł. — kwartalnie 2 złr. Za granicą 16 marek.

Adres administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

PIERWSZE KWIATY

NOWELLA

PRZEZ STANISŁAWA MANIECKIEGO.

I.

Śliczny był wieczór wiosenny....

Słońce kłoniło się ku zachodowi, czerwieniąc purpurą cały nieba firmament. W krwistych promieniach jego wibrowały miljardy muszek, zaczynając swój zwykły taniec wieczorny. Nad łąką jaskółki szybowały jak szklące turmaliny, smukłą piersią muskając czasami zieloną traw powierzchnię, a w górze, jak czarne muszki roiły się jerzyki, z wrzawą i piskiem kłócąc się o pierwszeństwo w lataniu.

Z niedalekich błot i oczeretów odzywał się wesoły chór żabek, a derkacz jakby na basetli ciągle im wtórował. Nad zielonym zbóż kobiercem skowronki dzwoniły swe wieczorne pacierze, niosąc swe pienia coraz wyżej i wyżej i ginąc wraz z niemi w przestworzu, z pobliskich krzaków dolatywały rozmarzone tony śpiewaka wiosny, a ja, zasłuchany w te czarowne dźwięki, upojony rozlanemi naokół woniami wiosny, postępowałem rozmarzony i szczęśliwy....

Tak, rozmarzony i szczęśliwy, bo dusza ma zdolna była odczuć i pojąć całą tę krasę wiośnianą, zdolna była nią się rozkoszować i czuć to tętno życia, bijące w łonie przyrody, bo — rzekłszy jednem słowem: kochałem!...

Lecz czy tem zimnem, bezbarwnem słowem można wyrazić całą głębię uczucia? Czy sprofanowaną nazwą miłości można określić uczucie, które objęło całe jestestwo, jak płomień obejmuje wyschłych traw obszary, które tętni w każdej krwi kropelce, jak tętni w niej i życie, które jak serce wyrwać z piersi niepodobna chyba wraz z życiem? Nie! stokroć nie! Czyż zimnym skalpelem mowy ludzkiej można miłość anatomizować? O tu, słowika tego się spytajcie, on was pouczy jak miłość wygląda, on wam opowie jak o miłości mówić należy!...

Oczarowany, w pół śnie, w pół na jawie, postępowałem krajem lasu przedmiejskiego. Po chwili bezmyślnie prawie wsparłem się o biały pień brzozy, zatopiłem wzrok w przestrzeni, gdzie w dali bielały pierwsze domki miasta, i cały utonąłem w marzeniu.

Z rozkosznej tej zadumy zbudziły mię dopiero dwie różowe rączki, przysłaniające mi figlarnie oczy. O! poznałem je po cieple, po woni i zsunąłem ku ustom, nie szczędząc całusów.

— Czemuż to najdroższa przyszłaś tak późno? Patrz słońce skrywa się już za góry, a na widnokręgu drży pierwsza gwiazdka wieczorna.

— Nie mogłam drogi, nie mogłam wcześniej, lecz za to możemy dłużej używać czarownej przechadzki.

I ręka w rękę, spleceni uściskiem, przechodziliśmy zwolna pola i łąki, nie przerywając dyssonan-

sem mowy ludzkiej ciszy wiośnianego wieczoru i tylko zrywając gdzieniegdzie pierwsze kwiaty, których spora uzbierała się wiązanka.

Aż wreszcie księżyc wypłynął majestatycznie, srebrząc wszystko naokół, srebrne nitki rzucając w traw kobierzec, srebrne wianki wieszając wśród drzew gałęzi, srebrne iskry zapalając w szemrzącym strumyku — i słowik na to odezwał się raźniej, i żabki gwarniej zagrały w dali, i lekki wietrzyk wypadł gdzieś z lasku, pomotał i nitki i iskry srebrne, woń jaśminu rozsiał naokół i znikł hen w szuwarze nadbrzeżnym.

W tem cicha muzyka doszła naszych uszu, jak echo niebiańskich pieśni, budząc nas do życia. Zdziwieni przystanęliśmy, nie wiedząc gdzie zaszliśmy bezwiednie. Lecz naokół nic się nie zmieniło, natura spała spokojnie, pełną piersią pijąc ożywczą rosę wieczorną, gaje i laski szemrały jeszcze ciągle wiodąc zwykły rozhowor wieczorny, i słowik nucił ciągle i żabki nie zaprzestały swego koncertu, przed nami tylko w oddali między drzewami migały światełka, skąd cicha i rzewna płynęła melodja.

Pociągnięci jakimś czarem, który muzyka zwykła wywierać, skierowaliśmy nasze kroki ku temu miejscu.

Im dalej szliśmy muzyka stawała się wyraźniejszą, aż wreszcie dostrzegliśmy ogródek przedmiejski oświecony lampami, w którym przy białych stołach siedziało jeszcze kilkanaście osób, w wesołej zatopionych pogadance.

Naprzeciw wchodu, w głębi, wznosiła się estrada, na której pierwszem miejscu, z skrzypcami w dłoni, siedziała młoda, smagła brunetka, wśród gry rzucając ciekawe naokół spojrzenia czarnemi jak piekieł czeluście oczami. Za nią stał pochylony wiekiem mężczyzna, z wyrazem łagodności rozlanym na twarzy, zatopiony w swej grze zupełnie i tylko przy silniejszym pociągnięciu smyczka prostował się nieznacznie i błyskał siwemi oczyma. W okół nich kilka jeszcze postaci bezmyślnie przebierało palcami po swych instrumentach, wyróżniał się tylko blondyn o wyrazie namiętnym i zmysłowym, pożądliwem okiem spozierający na brunetkę i otrzymujący w zamian gorące spojrzenia.

Długą jeszcze chwilę staliśmy przy wejściu wsłuchani w dźwięki muzyki. Usłyszeliśmy ją tak niespodzianie, w chwili takiego nastroju, niemal oderwania od świata, że zrobiła ona na nas wrażenie niezatarte.

Wtem ucichły jej dźwięki i starzec ów zeszedł z podwyższenia, z talerzem w dłoni obchodząc gości. Sięgnąłem ręką po pulares, gdy dłoń lubej wstrzymała moją. Starzec zbliżył się do nas trzymając talerz wzniesiony i w tej chwili ręka najdroższej złożyła na nim bukiet świeżo uzbierany. On podniósł na nią wzrok zdziwiony, błysk jakiś zamigotał w jego oczach, skłonił się nizko i szepnąwszy „dziękuję“, odszedł ku estradzie.

Skoczyłem za nim i wyjąwszy banknot, prosiłem, by mi bukiet odstąpić zechciał za jaką bądź cenę, gdyż mi na nim nader zależy.

Potrząsł tylko głową przecząco, podniósł bukiet ku ustom, łza zabłysła na wybladłych policzkach i odrzekł cicho:

— O, panie! kwiatów tych nie oddałbym za skarby świata całego! Są to pierwsze, jakie mi muzyka przyniosła, gdyż dotąd znałem tylko jej ciernie, pierwsze w mem życiu a zapewne i ostatnie! Ty mój panie jesteś młody i nie jedne jeszcze kwiaty czekają cię w życiu....

O starcze! jakże się myliłeś!

II.

Całą noc śniłem rozkosznie....

Czarowne obrazy przesuwały się przedemną jak w kalejdoskopie, pobudzając serce do żywszego tętna, każąc krwi raźniej płynąć po żyłach. Anielski obraz najdroższej, wśród wieńców kwiatów wiosennych, w srebrnej aureoli światła księżycowego, kołysał mnie w snach noc całą. Przy cichych tonach muzyki błądziliśmy wśród kwietnych kobierców, spleceni uściskiem, usta przy ustach, serce przy sercu, a zebrane wiązki kwiatów pomienialiśmy między sobą, dotknąwszy ich wpierw ustami. I widziałem ją znów w lasku, goniącą wiotkiego motyla, z twarzyczką zaróżowioną w pogoni, gdy na mój widok rzucała mi się z głośnym śmiechem na piersi dla chwilowego odpoczynku. A ptaszek figlarz, słysząc jej głos srebrny, chciał ją zawstydzić swym śpiewem, lecz wkrótce sam umknął zawstydzony, kryjąc się wśród listków.

I obraz za obrazem przesuwał się przed rozgorączkowaną wyobraźnią, a coraz czarowniejszy i rozkoszniejszy.

Zbudziłem się rzeski na ciele i duszy, żwawy jak ptaszek na wiosnę, lekki jak rybka w wód toni i porwawszy się z łóżka, z wesołą arjetką na ustach począłem się ubierać.

W kilka chwil potem ciche pukanie ozwało się u drzwi moich, a na stereotypowe: proszę, ukazał się we drzwiach ów stary muzykant, z wczorajszym bukietem w dłoni. Zdziwiony spojrzałem na niego, i dostrzegłem w jego twarzy źle ukrywany smutek i zażenowanie.

Cicho, jakby z wahaniem, odezwał się:

— Wczoraj, mimo usilnego pańskiego żądania, bukietu oddać mu nie chciałem. Dziś sam go przynoszę. Wezmę zań, co mi pan ofiarujesz.

Twarz ma w tej chwili musiała wyrazić niezwykłe zdumienie, bo gdy podniósł wzrok na mnie, zmięszał się, zaczerwienił po białka oczu i prędko dodał:

— Racz mię pan nie pytać o powód tej nagłej zmiany.... nie czyń mi tej przykrości!.... Są rzeczy

niewytłómaczalne na pozór, lecz powód zawsze być musi.... Zresztą — i tu nachylił się szepcąc mi w same ucho — zresztą opowiem panu wszystko, lecz w tej chwili nie mogę, bo *ona* stoi za drzwiami....

Zdumiony, nic nie rozumiejąc, w milczeniu podałem mu kilka banknotów, z któremi wnet zniknął za drzwiami.

Nie upłynął i kwadrans a już był z powrotem. Cicho, bojaźliwie wsunął się do mego pokoju, oddychając ciężko, a ja widząc, że ledwie się na nogach utrzymać zdoła, przysunąłem mu krzesło. Siadł, odpoczął chwilę, i cicho się odezwał:

— Być może, iż dziwnem się to panu wyda, że nie znając go zupełnie, chcę mu robić zwierzenia nic go nieobchodzące, któremi nawet znudzić go mogę. Czuję jednak potrzebę zwierzenia się przed kimś, potrzebę wynurzenia mej troski, bólów i szaleństwa, a do pana dziwną czuję sympatję. Nie mając rodzeństwa ni krewnych, nie miałem nikogo, przed kim mógłbym się zwierzyć, a wówczas, być może, jedno słowo rozsądne byłoby mię wyrwało z przepaści, na której brzegu jeszcze stałem.... — dziś już za późno!

...Stare to jak świat dzieje i jak on wiecznie się odradzające!

Nie będę cię nudził mój młody panie historją całego życia mojego, historją cierpień i zawodów, które towarzyszą każdemu człowiekowi od kolebki do grobu... — zbyt to zwykłe i nudne! Dla wyjaśnienia dzisiejszego zwrotu bukietu opowiem ci tylko historję ostatnich moich lat kilku, historję szaleństw starca, który niepomny na swe lata i włos siwy, dał się porwać trawiącej namiętności, która go przepaliła jak ogień i dąb silny spopielić jest wstanie!....

Czy kochałeś ty kiedy? Tak, prawda, o ile uważałem kochasz właśnie.... Lecz czy ty możesz mieć pojęcie o miłości starca stojącego nad grobem, który ima się przedmiotu ukochanego jako jedynej deski ratunku, jako jedynej rzeczy, która go jeszcze wiąże z życiem, który czuje, że strata ta ostatnia pociągnie go w grób niechybnie, który drży z obawy, bo wszystko, całego ciebie, całą swą resztę żywota powierzył tej kruchej łodzi, tym drobnym rączkom, zdając się na ich łaskę lub niełaskę... O! czemże jest wasza miłość w porównaniu z tą miłością, która wszystko kładzie na szalę! Wam po stracie ideału pozostaje świat, ludzie, życie opromienione aureolą młodości, nadzieja szczęścia w przyszłości — a nas?... nas tylko grób oczekuje! Czyż wy możecie mieć pojęcie o miłości, która jak lawa w wypalonym wulkanie wre i kipi w głębi, nie mogąc znaleźć ujścia, by nadmiar jej wydostał się na zewnątrz, która rozpiera łono, krew stygnącą pobudza do żywszego tętna i przepala organizm niezdolny już do wzruszeń podobnych! Straszne to są katusze, a jeszcze straszniejsze, gdy zazdrość swe żądło zatrute utopi ci w sercu! Wtedy piekło przejdziesz za życia, a męki Tantala wydadzą ci się igraszką!

A cóż mówić dopiero, gdy jest powód zazdrości!

O, mój młody panie, straszne przechodzę męki...

Czy widziałeś wczoraj tę brunetkę, grającą przy mnie? Poznałem ją przed kilku laty i szatan jakiś rozpalił w mem sercu iskrę namiętności! W mem sercu wystygłem, spopielałem, wykiełkowało uczucie gorące, ogniste jak skwar Południa, niepowstrzymane jak potok lawy, szalone... jak ja sam chyba! O, pokochałem ją, jak tylko starcy lub szaleńcy kochać umieją, dający w zamian za strzępy miłości całego siebie!

Wkrótce pojąłem ją za żonę... Szaleniec! przykułem do siebie ognistą córę Południa, żądającą szału, życia, rozkoszy! Ja, stojący nad grobem, chciałem, by młoda kobieta zadowoliła się wulkanem wrącym w mej piersi, by ze mną, zgrzybiałym starcem, zamknęła się przed światem, by jej wystarczyły do życia cztery ściany lichego domku, wraz z mężem, którego kochać nie mogła... Czyż się jej dziwić można, że nie mogąc znaleźć szczęścia w domu, próbuje szukać go za domem? O panie, jak to boli, jak to strasznie boli, gdy szatan zazdrości pocznie rozrywać łono!

Com wycierpiał przez tych lat kilka, zapewne w niebie zapisane, co zaś jeszcze wycierpię... o nie, już niewiele, bo czuję, że tu, w piersiach, już brak czegoś, już się coś przepaliło!...

Czyż potrzebuję jeszcze teraz tłumaczyć, dlaczego musiałem zwrócić ci bukiet, który tak mię uszczęśliwił? Wszak domyśliłeś się pan zapewne, że ona mi go sprzedać kazała, słysząc naszą wczorajszą rozmowę. Za skarby świata całego byłbym tego nie uczynił, lecz dla niej uczyniłem bez szemrania... Bolało mię to, bolało bardzo, o! bo ja panie kocham muzykę, bo to jedyna kochanka mej młodości, wierna dotychczas, a choć nie usłała mi drogi różami, kocham ją zawsze, i wolno mi ją kochać, choć jestem tylko skromnym dyletantem, jak wolno każdemu kochać Boga, mimo że nie jest tak jak On doskonałym...

III.

Długo siedziałem nieruchomy, rozmyślając nad historją szalonego starca, który jak ćma w ogień rzucił się dla schwycenia jasnego promyka, chcąc nim oświetlić noc swojej starości. I dziwne myśli wirowały mi po głowie, i rozmyślałem, czy warto w kruche ręce powierzać serce, czy warto oddawać je w niepewne dłonie, które obejść się z niem mogą jak z igraszką, czy nie lepiej zamknąć je w piersi, otoczyć nieprzełamaną zaporą granitu, a tem samem ochronić od strasznych kataklizmów, które całe życie łamią bezpowrotnie?... Lecz nie! stokroć nie! cóż warte życie bez złotej szczęścia iskierki, bez wiary w przyszłość i szczęście? Czemże byłoby wtedy? Gnuśnem wegetowaniem, nędznem wleczeniem żywota!

Nie, raczej zginąć, lecz poznać choć na chwilę rozkosz szczęścia niewysłowionego.

I przyszła mi na myśl ma luba czarodziejka i utonąłem cały w marzeniu. Wszystkie nasze wspólne przechadzki przesuwały się po kolei przed oczyma mej duszy, a przypomnienie tych chwil czarownych odebrało mi niemal samowiedzę istnienia.

I właśnie, gdy luba moja nachylała się ku mnie, nastawiając purpurowe usteczka do pocałunku, jakiś stuk przywołał mię do życia.

Zdziwiony i niemogący zdać sobie sprawy z położenia, spoglądałem chwilę nieprzytomnie przed siebie, wreszcie spostrzegłem owego muzykanta, stojącego przedemną w kapeluszu na głowie i wzrokiem dzikim, obłąkanym patrzącego mi w oczy. To gwałtowne wtargnięcie do mego mieszkania, ten wzrok, to dziwne zachowanie, były dowodem jakiegoś strasznego wypadku.

W pierwszej chwili myślałem, że zmysły postradał.

Powstałem i pytająco spojrzałem na niego.

Chwilę nic nie odpowiadał, nareszcie dziko śmiać się począł.

— Cha, cha, cha! czy wiesz pan co zrobiła? cha, cha, cha! Otóż to, co dawno przeczuwałem! Uciekła! cha, cha, cha! uciekła z gachem! Zabrała wszystko co posiadałem, a mnie zostawiła na bruku! Ale to mniejsza! cha, cha, cha! Ja już nic nie potrzebuję!

I śmiać się począł coraz głośniej i coraz szaleniej, i śmiejąc, wytoczył się za drzwi, a echo śmiechu długo dolatywało mię jeszcze.

* * *

I znowu śliczny był wieczór wiosenny, gdym kilka dni później powracał z mą lubą ze zwykłej przechadzki.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca żegnały się z ziemią, śląc jej na dobranoc ogniste pocałunki, aż pokraśniała cała, oblana wstydu rumieńcem. Białawe chmurki, jak napowietrzne rydwany, cicho płynęły ku zachodowi, różowiejąc w miarę posuwania się naprzód i szykując się dopiero jako złocista aureola w około purpurowego słońca. I ptaszki jak zawsze świegotały wesoło, kłócąc się figlarnie o nocne łóżeczka, i muszki brzęcząc kąpały się w ciepłych promieniach, i wietrzyk szemrał wśród drzewek, i jaskółki te same w cichym, łamanym locie przemykały koło nas, a cała przyroda dyszała po całodziennym skwarze, oczekując na odmładniającą rosę wieczorną.

Weszliśmy między pierwsze domki przedmieścia. Srebrny dzwonek kościółka zwoływał na wieczorne pacierze, ciche i drżące swe dźwięki roznosząc naokół. Gdzieniegdzie znużony wyrobnik powracał po całodziennej żmudnej pracy, odpocząć na łonie rodziny, która w progu oczekiwała nań niecierpliwie. Nad niskiemi, koszlawemi domkami, długim słupem jak z ołtarza ofiarnego wznosił się dym ku górze, a jaskółki jak strzały wpadały pod strzechy, czarne główki wychylając z gniazd szarych.

Wtem żałobny śpiew księdza obił się o nasze uszy, jak niemiły dyssonans wśród czarownej muzyki i skromny wóz śmierci okazał się na skręcie. Na nim spoczywała uboga trumna, okryta czarnym kirem. Za trumną postępowało kilka osób, w których poznałem współtowarzyszy muzykanta. Brakowało tylko blondyna i brunetki...

Z ściśnionem sercem zbliżyłem się do smutnego orszaku, zapytując, komu wyświadczają ostatnią przysługę?

Przeczucie nie omyliło mnie; w trumnie spoczywał stary muzykant.

Spojrzałem na mą lubę i dostrzegłem dwie łzy w jej oczach. Cicho stoczyły się one na wiązankę kwiatów, którą trzymała w ręku i drobną dłonią złożyła ją na trumnie biednego szaleńca.

Tym razem odkupować już ich nie chciałem.

MARZNĄCE FALE.

POWIEŚĆ

przez WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO.

Izba była raczej podłużna niż kwadratowa, ponura, ciemna i brudna. Na ścianach, pod sufitem, zwieszały się wielkie pajęczyny, a na pajęczynach tych leżał kilkoletnią warstwą kurz, nadając im charakter płacht jakichś mętnych i brzydkich. Kurz ten zresztą wszędzie się znajdował obficie. Na obrazach, których w ogóle było bardzo niewiele w tej izbie, układał się on grubą warstwą i przedostał się za szkło, poszpecił niezdecydowanemi, szaremi plamami papier. Jeden z tych obrazów, przy słabym, migotliwym blasku gazowej lampki, przedstawiał Napoleona Wielkiego, na białym koniu z lunetą w ręku patrzącego na daleką bitwę, otoczonego świtą błyskotliwą i strojną, a drugi niemiecką scenę: starego wieśniaka umizgającego się po lampce wina do swej równie starej żony. Pod obrazem tym był podpis: „*Alte Liebe rostet nicht*“.

Ściany były nagie, niegdyś na niebiesko pomalowane, teraz bezbarwne i brudne. Pęk najrozmaitszych kluczy, małych i wielkich, zawieszonych na kołku uzupełniał ozdobę tych ścian brzydkich, jednostajnych i ponurych.

W całej tej izbie zresztą panowała atmosfera jednostajności i ponurego smutku. Niczem oko rozweselić się nie mogło. Jedyne okno zakurzone jak wszystko tutaj, nigdy nie myte, zaopatrzone silnemi kratami, które rdza bezlitośnie jadła, przepuszczało do wnętrza niezmiernie mało światła. Choć na dworze był jeszcze dzień, co prawda dzień zimowy i pochmurny, tutaj przecież w tej izbie musiano już zapalić gaz, by ją oświetlić jako tako. Nie oświetlono jej jednak dostatecznie. Żółte odblaski gazowe rozlewały się szeroko do koła lampy, ukazywały stary, zieloną ceratą kryty pulpit, olbrzymi drewniany kałamarz, na nim czarną piaseczniczkę i mnóstwo innych rzeczy, ale w głębi izby gasły powoli i po upartej walce z ciemnościami, nikły zupełnie. Druga połowa tej posępnej izby była pogrążona w wielkich cieniach i już sama przez się smutna, wydawała się jeszcze smutniejszą.

Pulpit pod oknem był duży, niezgrabny i staroświecki. Po nim, po jego ceracie zaplamionej atramentem, po kałamarzu na którym leżało jeszcze kilka trupów letnich much, po piórach gęsich, po kilku księgach oprawionych w skórę, ślizgały się blaski gazowe i oświecały pochyloną nad rozwartą księgą twarz mężczyzny. Łyse jego czoło, otoczone było wieńcem siwiejących włosów i mocno zbruzdżone. Duże, strzępiaste brwi przykrywały oczy bystre, siwe, małe, osłonione okularami w złotej oprawie. Twarz starannie wygolona, miała tylko pod brodą wązki pasek siwiejącego zarostu. Ubrany w długi, dostatni, futrem podbity surdut, siedział w wysokiem krześle z poręczami, zniszczonem i brudnem jak wszystko w tej izbie, i trzymając pióro w ręku, liczył szereg długich cyfr w księdze.

Obok niego w cieniu nieco, na prostem drewnianem krzesełku siedział inny mężczyzna z cygarem w ustach, którego dymek błękitny w spokojnej ciszy tej izby unosił się długiemi pasmami, płynął ku lampce gazowej i tutaj porwany prądem ciepłego powietrza, wirował, rwał się na szczątki i znikał. W izbie panowało głuche milczenie, słychać było tylko skrzypiące tik, tak, starego zegaru umieszczonego gdzieś w ciemnym kącie izby. Mężczyzna palący nic nie mówił, siedział na swem krześle i patrzał się za płynącym leniwie ku lampie dymem cygara. Od lampy tej żółty odblask światła padał na jego młodą i melancholijną nieco twarz, ukrytą na pół w cieniu. Jego włosy starannie i modnie przyczesane na czole, w blasku tym przybierały matowy odblask hebanu, a oczy jego, duże, ciemne, nosiły w sobie wyraz zadumy i znużenia, czy też smutku. Niekiedy oczy te odrywały się od smug błękitnych dymu cygarowego i błądząc bezmyślnie po izbie, zatrzymywały się na obrazku niemieckim, którego podpis wyraźnie przy świetle lampy gazowej odczytać można było. „*Alte liebe rostet nicht*“ mówił ten napis i zdawał się budzić w umyśle mężczyzny jakieś wspomnienia, bo uśmiechał się smutnie i z wyrazem niewysłowionego znużenia przymykał oczy.

— Czterdzieści sześć tysięcy, trzysta dwadzieścia sześć złotych i groszy dwadzieścia! — rzekł mężczyzna rachujący.

To mówiąc położył pióro na pulpicie, zdjął okulary, przetarł je czerwoną, kraciastą chustką, znowu nałożył na nos i zwrócił się twarzą do swego młodego towarzysza. Zwróciwszy się, poszukał kawałka cygara leżącego obok niego, zapalił je starannie i rzekł swym suchym, chrapliwym, gardlanym nieco głosem, z wyraźnym akcentem cudzoziemskim:

— Taką jest suma czystego dochodu za rok ubiegły 1866ty. Twoja zatem część panie Zygmuncie, wynosi dwadzieścia trzy tysiące sto sześćdziesiąt trzy złote i groszy dziesięć, którą ci każdej chwili wypłaci stary Lape.

— Dziękuję panu panie Miller, bardzo dziękuję. Nie spodziewałem się tak poważnego dochodu — odrzekł na to z lekkim ukłonem młody mężczyzna, głosem miękkim, przytłumionym i zmęczonym.

— Mówisz że nie spodziewałeś się tak poważnego dochodu? Muszę ci powiedzieć panie Zygmuncie, że źle mówisz. Poważny dochód! Ja, stary Friedrich Miller widziałem poważniejsze dochody z tego samego interesu. Tak! tak! przed tą nieszczęsną burzą, którą wywołaliście Bóg wie po co i na co, ten sam interes, za życia twego zacnego ojca a naszego wspólnika, były lata, że przynosił po dwieście tysięcy złotych czystego dochodu. Tak, po dwieście tysięcy, jakem Friedrich Miller.

Pociągnął mocno cygaro, aż zaskwierczało, puścił kłąb dymu i poprawił się na swym fotelu, z którego bezczelnie strzępiło się włosie, jakiem był wysłany. Z suchych, zawiędłych ust Millera wyrazy wydobywały się powoli, ciężko, z gardłowym przydechem, a maleńkie siwe oczki świeciły się z poza okularów jak płomyki gazu w lampie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POJEDYNEK.

— Ten człowiek, dobry panie, zabił mego syna...
— Jakto? I pan z nim mówisz?
— Choć krew mi się ścina,
Kiedy nań spojrzeć muszę — za ciężkie pokuty
Przyjmuję go u siebie...
To że czci wyzuty,
Podły człowiek, gdy może spojrzeć w pańskie oczy...
— Wcale nie — jego serce także rozpacz tłoczy,
Jak moje... On nie winien...
— Więc kto? — Ja, mój panie,
Ja i to niedorzeczne nasze wychowanie,
Co nędznych i potwornych fetyszów kult szerzy,
W niem nieszczęście, w niem zguba jest naszej młodzieży...
— Jak to było?
Jak było? Oh razy tysiące

Miałem to zapytanie przykre i dręczące,
Mówić o tem — najsroższej równa się torturze...
Lecz to pokuta... dobrze... jeszcze raz powtórzę...
Znałeś Wacława — chłopak był dobry, uczciwy,
Kochał mię, żył przystojnie, miał zacne porywy,
Lecz miał wadę, był dumny, sobą napuszony,
Przed swem „ja", jak przed bóstwem dzikiem bił pokłony,
Zdało mu się, że w świata modnego zegarze,
Jest kółkiem szczerozłotem, co się cenić każe,
Na które nie śmie upaść pyłu nawet atom...
Trudno walczyć przeciwko takim aksiomatom,
Pył pozostanie pyłem, a kał zawsze kałem...
Czułym być na swój honor sam mu zalecałem...
Lecz ten honor czem bywa w oczach młodzieniaszka?
Jakąś bańką mydlaną, którą lada fraszka
Może rozbić na pyłki, delikatną wonią
W źle zamkniętem naczyniu, którą w lot roztrwonią
Oddechy choć najsłabsze...
Ten, co mi do grobu
Posłał syna, był druhem jego, razem obu
Widywano na balach, przechadzkach, w teatrze...
Bywało... gdy na obu chłopaków popatrzę,
Dusza ma była taka wesoła i rada,
Że dobry Orest znalazł zacnego Pilada...
Poszło im o drobnostkę... Na balu, w bufecie,
Jakiś żarcik powiedział Wacław o kobiecie,
Z którą przyjaciel tańczył — żarcik głupi może —
Ot zwyczajnie, gdy młodzież jest w dobrym humorze
Po libacji szampanem... To był powód kłótni...
Towarzysze zarówno głupi, jak okrutni,
Zamiast hamować obu temperament żywy,
Dolewali z uśmiechem do ognia oliwy...
Padały ostre słowa, przycinki jak piły
Miłość własną krajały — krwią nabiegły żyły,
Blade usta się trzęsły — wzmagała się wrzawa; —
W tem jakiś przykry wyraz obraził Wacława;
Odpowiedział podobnie... A gość jeden, panie,
Który do pojedynków miał prawdziwą manję,
Na nieszczęście tuż siedział przy hiszpańskiem winie...
Zawołał: „Za te słowa, niechaj krew popłynie,
Na honor obu padły ciężkie, brudne plamy —
My, ludzie honorowi, brud ten krwią zmywamy!"
Rozłączono szaleńców, ale tylko po to,
By im prawić z osobna, jak wielką sromotą
Okryli się — że cały świat na nich spogląda —
Z muchy sprzeczki, obelgi zrobili wielbłąda,
By mieć o czem w salonach paplać...
Tak, mój panie,
Licha gawiedź, gawiedzią zawsze pozostanie,
Czy to w modnym salonie, czy to na ulicy,
Wszędzie większość, niestety, mają nikczemnicy,
Dla których rozpacz drugich, walka ciężka, krwawa,
To jedynie emocja, jedynie zabawa...
Jak przez szkła w panoramie, na bitw srogie jatki,
Tak oni spoglądają na życia wypadki
Z naiwną ciekawością, bez ducha, wzruszenia...
Jak widowisko, każdy z nich wszystko ocenia...
Szacowny jest to przymiot, szacowny prawdziwie,
Widzieć wszystko w przyjemnej oku perspektywie!...
...Syn mi ufał, więc wszystko wyjawił przedemną...
Zadrżałem cały, oczy mgłą mi zaszły ciemną —
Znałem jego przesadne zdanie o honorze,
Wiedziałem, że nie cofnie, cofnąć się nie może,
A jednak go błagałem, by rękę do zgody
Wyciągnął... Na nic były wszystkie me wywody —
Wieść po mieście gruchnęła, cofnąć się nie pora...
Opinja świata, taka do okrucieństw skora,
Bezwzględna, gdy jej dzikie zwiedzie się nadzieje,
Na tego, kto ją zawiódł, szyderstw potok zleje,
Będzie go ścigać, wyda go na pośmiewisko,
Że skradł jej „cause celebre", co była tak bliską!
Rozpaczałem.. Wtem nagle myśl nową powziąłem...
Syn uparty, tu muru nie przebiję czołem,
Ale jego przeciwnik może mniej zawzięty —
Pójdę — upokorzenia sam wypiję męty,
Poproszę go — ja — starzec...
Poszedłem w tej chwili...
Zaledwieśmy słów parę z sobą zamienili,
Dobry chłopak się wzruszył — skorzystałem z tego,
Przedstawiałem, jak smutno jest bić się z kolegą —
Płakałem — i on także zwilżone miał oko.
Lecz jak sprawę załatwić? Ja byłem za zwłoką,
Aby obmyśleć formę delikatną zgody —
Długo trwały pomiędzy nami korowody,
Wreszcie zgodził się... Pojmiesz wielką radość moją!
Przez zwłokę się wzruszenia zatrą, uspokoją,
Namiętności ustąpią przed rozumu władzą,
I obaj zapaleńcy dłoń sobie podadzą!
Tak myślałem... lecz jakże zawiodłem się srogo...
Nazajutrz Wacław z twarzą przychodzi złowrogą,
I lodowatym głosem tak do mnie powiada:
„Wiem, że niezbyt doniosłą była moja zwada,
Lekkie draśnięcie szablą, ciepłej krwi pół kwarty,
Byłoby wystarczyło, wstyd byłby zatarty,
I rzecz cała skończyłaby się honorowo...
Ojciec jej teraz nadał formę całkiem nową,
Ostrą, nieubłaganą, i dzisiaj niestety,
Szabla na nic — zostały tylko pistolety...
Meta bliska, najbliższa jak tylko być może,
Ja padnę, albo jego też trupem położę."
„Czyś oszalał? Co mówisz?"
„Dzisiaj przed godziną,
W twarz mu dałem przy świadkach — przyznasz, że jedyną
Takiej obelgi zmazą, śmierć jest..." Oniemiałem —
On dalej ciągnął drwiąco: „Z za wielkim zapałem,
Chciał mię ojciec ratować... Prosić o me życie
Przeciwnika? To pięknie, świetnie, wyśmienicie —
Lecz i upodlająco! Cóż świat powie na to?
Żem stchórzył, a mą podłość wziął na siebie tato!
Nędznej farsy aktorem w opinji zostanę,
A czoło me ozdobią w niczem niezmazane
Piętno podłości... Oto moja przyszłość cała!
Opinja już mi zdanie swoje poznać dała —
Słyszałem śmiechy, wzgardy spojrzenia mię bodły,
Szeptano: niedojrzały — a jam słyszał: podły!!!
Musiałem jednym faktem wszystkiemu kłam zadać,
Starcie będzie śmiertelne... Przestań ojcze biadać —
Westchnienia nie zaważą na przeznaczeń szali —
Módl się raczej — moc wyższa może mię ocali!"

. . . .

W dwa dni krwawego trupa w dom mi przyniesiono —
Kula piersi przeszyła — dłoń miał zaciśnioną,
Jakby pistolet trzymał... Pojedynku świadki
Mówili, że okazał ducha spokój rzadki...
Gdy konał, jedną rękę położył na serce,
A drugą do swej piersi przycisnął mordercę,
Który zalał się łzami z bólu i rozpaczy...
Los tak chciał... Ha! Obelgi nie mógł zmyć inaczej!"

. . . .

To rzekłszy, westchnął ciężko i odszedł powoli —
Skierował chwiejne kroki ku święconej roli,
I płacząc na mogile, jął podlewać kwiaty...
O starcze! Nie opłaczesz nigdy drogiej straty!

Bolesław Czerwieński.

Kwiat szczęścia.

Widzisz ten kwiatek na szczycie skał?
W jego to łono Bóg szczęście wlał!
Kto we właściwy zerwie go czas,
Czarowną rószczkę zerwie z nim wraz; —
Więc pnij się w górę gdy nie znasz lęku,
A razem z kwiatkiem szczęście w twem ręku!

Przeczytawszy ten wiersz zwrócił się Henryk Kroneg do pani domu i dodał z udaną powagą:

— Chodzi teraz tylko oto, żeby pomiędzy tysiącem różnych kwiatów znaleść właściwy... Co do mnie, puszczam się na wynalezienie czarodziejskiego kwiatka, jak tylko arcymiła obecna pora deszczów i burz przeminie.

W samej rzeczy maj tegoroczny nie bardzo mile zaznaczył się w życiu mieszkańców podgórza Alp... Deszcze padały bez przerwy, a góry zaledwie niekiedy wychylały swe szczyty z po za mgły, zalegającej widokrąg. Nic dziwnego, że goście pani Rehfeld, właścicielki arystokratycznej willi, zbudowanej w uroczej dolinie szerokiej równiny podgórskiej, nie wychylali głowy z salonu, znajdując, że ciepło, które wydzielał płonący od świtu do zmroku kominek, nierównie przyjemniej oddziaływa na humor i usposobienie, jak wilgotne i mgliste powietrze obszernego parku.

Szczupłe towarzystwo zebrane w willi gromadziło się codziennie naokoło znicza kominka i przepędzało czas na wspólnej rozmowie, lub wsłuchiwało się z zachwytem w górnolotne, pełne poetyckiej weny utwory pana Gwidona Hellmara, natchnionego poety.

Zastajemy całe towarzystwo w gustownie urządzonym saloniku, a dobór mebli i obrazów, niemniej inne przybory i ozdoby, dopełniające urządzenia komnaty, świadczą o bogactwie i pewnem poczuciu artystycznem mieszkańców.

Na pół leżąco spoczywa gospodyni domu w wygodnym fotelu, zwrócona do płonącego na kominku ognia.

Na młodej jej twarzy o łagodnych i wyrazistych rysach, ujętej ciemnym włosem, który spływa w długich warkoczach, przebija rodzaj znużenia, a smętny wzrok dużych czarnych oczu, osłoniętych długą rzęsą i przejrzysta białość cery noszą piętno cierpień.

A jednak jakiś tajemniczy urok otacza tę wiotką postać i pociąga mimowoli ku sobie; takiemu wrażeniu uległ widocznie Gwido Hellmar, oparty o poręcz fotelu, gdyż nie odwraca oka od uroczej postaci pani Rehfeld. Naprzeciw tej grupy siedzi tuż przy kominku starszy jegomość dobrze już szpakowaty, z twarzą czysto wygoloną o wydatnych policzkach i podbródkiem opartym na białej chustce, symetrycznie pod szyją związanej. Sztywny i nieruchomy jegomość wygląda na wyższego urzędnika i przedstawia wierny typ biurokraty. Oddany z zajęciem czytaniu gazety spogląda od czasu do czasu na młodą parę, która rozmawia półgłosem przy stoliku, nieco w głąb salonu wsuniętym.

Obok Henryka, który trzyma jeszcze w ręku kartkę z wierszami, odczytanymi na wstępie, wychyla się jasnowłosa główka młodego dziewczęcia. Na miluchnej twarzy, okraszonej wdzięcznym rumieńcem, igra figlarny uśmiech, a żywe oczęta błyszczą jak dwie świecące gwiazdy.

Dziewczę wzięło kartkę z rąk Henryka i zapytało:

— Czy to twoje wiersze Henryku?

— Uchowaj Boże! — zaprotestował zagadnięty uroczyście. — Spisałem tylko to co mi stary Ambroży dyktował. Rymowania oduczył mnie raz na zawsze nasz Gwido, któremu odczytałem ongiś próbkę mojego talentu.

— Niewiedziałam, że Henryk oddawał się także poezji — odezwała się pani Rehfeld z odcieniem sarkazmu w głosie.

— Szczególny raz dopuściłem się świętokradztwa, a kara nastąpiła w lot po przewinieniu. Gwido, którego sądowi poddałem nieudolną moją pracę, skazał ją bez pardonu na zniszczenie. Wykonałem wyrok z miejsca i własną ręką spaliłem moje nieudolne rymy.

— Zrobiłeś bardzo dobrze. Jesteś najlepszym chłopakiem, przyjemnym towarzyszem, dobrym przyjacielem, posiadasz mnóstwo innych przymiotów, ale do pisania wierszy niemasz najmniejszego talentu. Mówi ci to Gwido Hellmar.

— Sławny poeta!—dodał Henryk naśladując uroczysty ton mowy Gwidona. — Uginam się przed klątwą, którą na mnie rzuciłeś i od tego czasu nie zgrzeszyłem ani jednym wierszem; nie zechcesz przecież uważać poprawek w wierszu podyktowanym mi przez Ambrożego za przekroczenie. — a odwróciwszy się do Andzi, która się jeszcze wczytywała w wierszyk o „kwiatku szczęścia", dodał:

— Co myślisz Anulku, gdybyśmy się we dwoje puścili szukać tego czarodziejskiego kwiecia? byłoby do oryginalne, nieprawda?

— Udać się z tobą w podróż za szczęściem? zgoda! — odrzekło dziewczę wesoło, wypłacając się żartem za żart.

— Nie sądzę, żebyś potrzebował uganiać się dopiero za szczęściem — zauważył Gwido. — Z twojem usposobieniem czujesz się zawsze szczęśliwym. Mało znam ludzi podobnych tobie, którzyby umieli tak lekko i wesoło pływać po powierzchni tego życia, i nigdy nic nie brali na serjo.

— Jesteś na mnie bardzo łaskaw i dziękuję ci za życzliwy a tak otwarty sąd o mojem usposobieniu — odrzucił Henryk lekko podrażniony, a zwróciwszy się do pani Rehfeld podał jej z zimnym ukłonem wiersz, który przepisał i poprawił na jej wyraźne żądanie.

Pani domu również obojętnie przyjęła podaną sobie kartkę i tylko lekko skinęła głową, na znak podziękowania.

Henryk wrócił do stolika i usiadł na dawnem miejscu obok Andzi.

— Powiedz mi Henryku, jak mogłeś w krótkim stosunkowo czasie tak dobrze zapoznać się z narzeczem tutejszego ludu? Bawisz z nami zaledwie od czternastu dni, a rozmawiasz z ludem bez trudności, gdy tymczasem my obydwie z mateczką mieszkamy pośród nich przeszło od roku i niemożemy się porozumieć? — zapytała go Andzia.

— Rzecz prosta!... nie stykanie się z tym ludem i ograniczacie się na własne otoczenie... Ja zaglądam do zagród, spotykam się z nimi podczas wycieczek w góry, a że pozyskałem względy starego Ambrożego, uważają mnie za swego i chętnie ze mną rozmawiają.

— Tego sobie wcale nie życzę! — wmięszał się stary jegomość w rozmowę. — Niepojmuję twego upodobania w towarzystwie tego chłopa i nierad widzę te wycieczki po stromych i karkołomnych urwiskach, tem więcej, że ramię, które zwichnąłeś spadając z konia, nie całkiem się jeszcze zagoiło.

— Zupełnie słusznie mówi pan radca, Ambroży to nie towarzystwo dla ciebie, — odezwał się Gwido.

— Dajcie pokój staremu Ambrożemu, dzielny ten góral więcej wart jak wam się zdaje. Jest mi wreszcie potrzebny w wycieczkach jako przewodnik. Muszę go zapoznać z ojcem, takiego oryginalnego chłopa nie spotyka się codziennie.

— Jeszcze co... mnie zapoznawać z jakimś Ambrożym... pomysł godny twojej głowy. Wczoraj zrobiłem znajomość z jednym oryginałem tutejszych okolic i wcale sobie nie życzę poznać ich więcej, — odparł oburzony pan radca Kroneg i zwrócił się do gospodyni domu, opowiedzieć jej niemiłe zajście wczorajszego dnia.

— Wiadomo pani, że udałem się wczoraj do głośnego z lekarskiej sławy doktora Eberharda, który sprowadził się na lato w sąsiedztwo pani. Ponieważ uchodzi w stolicy za jednego z pierwszych, chciałem skorzystać z jego bytności i zapytać o radę w cierpieniach, które pani dolegają. Nie wyobrazicie sobie państwo jak mnie ten człowiek przyjął. Zaledwie wyjawiłem mu cel mego przybycia, skoczył jak szalony i latając po pokoju wylał cały potok arcygrzecznych wyrazów: Czy was licho naniosło mi na kark, czy nawet tutaj nie dacie mi spokoju... zarzuciłem praktykę... idźcie do wszystkich... słowem obszedł się ze mną jak nie z radcą jego królewskiej mości.

Radca był arcykomiczny opowiadając swoje przejście, wymachiwał przytem rękami naśladując ruchy doktora i zaperzył się na dobre.

Młodzi mimo szacunku dla jego osoby tylko gwałtem się powstrzymywali, żeby nie parsknąć śmiechem, nawet pani Rehfeld, zawsze poważna, uśmiechała się nieznacznie.

— Słyszałam coś o tym panu i o jego sposobie przyjmowania pacjentów... Musi być dziwakiem, a takim należy nieco wybaczać, — uspokajała zirytowanego radcę.

— Oczywisty dziwak... dzik, że się tak wyrażę, — potwierdził pan radca spiesznie. — Póki życia nie zbliżę się do tego człowieka! Raz mnie tylko Andzia namówiła.

— Kiedy wujaszku ja uwierzyłam na ślepo, że on jeden może pomódz mojej kochanej mateczce i chociaż wuj nic nie wskórał, udam się sama do niego. Nie ustąpię aż mi przyrzeknie zająć się mamą.

Mówiąc to objęła matkę za szyję i obcałowała twarz i oczy. Dziwnie dwie te kobiety wyglądały przy sobie, z których jedna zaledwie 23 lub 24 lat licząca matkowała drugiej już szesnastoletniej panience, a patrząc na serdeczny pomiędzy niemi stosunek trudno było uwierzyć, żeby macocha, jaką dla Andzi była pani Ewelina Rehfeld, z taką wylaną miłością otaczała dziecię zgasłego przed dwoma laty, znacznie starszego od siebie męża.

— Narazisz się niepotrzebnie moja Aneczko na szorstką odprawę... Mnie już żaden lekarz nie pomoże.

Nie mów tak mateczko! — błagało dziewcze okrywając pocałunkami ręce drugiej swej matki.

Gwido nachylił się z wyszukaną troskliwością i miękkim, zaledwie dosłyszalnym tenorem, który zdawał się dobywać z najtajniejszej skrytki współczującego serca, zapytał:

— Czujesz się pani gorzej? Zdaje mi się, że należało dłużej zabawić w Mentonie. Górskie powietrze za ostre w jej cierpieniach a natury tak delikatne potrzebują ciepła południowego słońca.

— Słońca! — powtórzyła pani Rehfeld melancholijnie. — Któż nie pragnie światła słonecznego? ale życie nie zawsze daje człowiekowi to, czego mu potrzeba do szczęścia.

— W samej rzeczy! Czem jest życie ludzkie, czem szczęście? cieniem! — wygłosił Gwido z patosem.

— Szkoda, że nie władam pendzlem lub ołówkiem, — odezwał się Henryk na pół drwiąco. — Uwieczniłbym na płótnie tę malowniczą scenę, bo w istocie zachwycająca. Andzia u nóg pani w postaci amorka łzy roniącego, Gwido nachylony w pozie artystycznej, jak ów Anioł opiekuńczy z twarzą boleśnie wykrzywioną... przepyszna grupa!

Gwido zmarszczył brwi i złowrogo spojrzał na przyjaciela.

Pani Ewelina przybrała także surowy wyraz twarzy i z pewnym przyciskiem wyrzekła zwolna:

— Panu Henrykowi każdy objaw współczucia wydaje się śmieszny.

— Przepraszam, a na dowód... weźmy poezje mego przyjaciela Gwidona. Nikt nie zaprzeczy, że są

bardzo czułe, a przecież nie odważyłbym się szukać w nich śmiesznej strony.

Gwido przygryzł wargi i spoglądnąwszy z góry na Henryka wycedził przez zęby:

— Wiem, że pozujesz czasami na krytyka... nie żenuj się... płaski twój dowcip nie może mnie dotknąć.

— Więc tobie niepodobają się wiersze pana Hellmara? — zapytała Andzia naiwnie.

— Nie przeczę, że wiele w nich piękna, ale mam uprzedzenie do więdnących róż, do słowików umierających i tych wszystkich innych ptaków z strzałami w sercu, a Gwido z szczególnem upodobaniem uprawia ten dział muzy.

Na twarz Hellmara wystąpił gorączkowy rumieniec, a oczy zaświeciły żądzą zemsty. Już chciał stanąć w obronie zaatakowanej swej powagi, ale wyręczył go radca strofując syna.

— Czego za dużo mój Henryku tego za wiele!

Andzia zdumiona śmiałością swego kuzynka w niemem milczeniu spoglądała na matkę i dostrzegła chmurę na jej obliczu.

— Znany nam pański sarkazm i jego złośliwość, ale sądziłam, że dla genialnych utworów swego przyjaciela masz trochę poszanowania, — wypowiedziała pani Ewelina w obronie Gwidona.

— Bodaj to być poetą i do tego poetą genjalnym! — westchnął Henryk, patrząc szyderczo do koła.— Wszyscy po jego stronie, a śmiałek który się poważył jednem tylko słowem objawić wątpliwość o wartości wiekopomnych jego utworów, skazany bez litości na zagładę, odsądzony od łask i względów. Przepraszam! przepraszam najmocniej! Ostatni raz poważyłem się być odmiennego nieco zdania. Od dzisiaj należę do chóru uwielbiających mego przyjaciela i jego rymotwory i biję w wielki bęben na cześć i chwałę Gwidona Hellmara, nieśmiertelnego wieszcza.

Sytuacja zaostrzyła się i byłoby przyszło do starcia pomiędzy obydwoma, lecz na szczęście wszedł lokaj z zapowiedzią, że dano do stołu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Potęga prawdy.

Assesor rządowy von Gehren powrócił z wycieczki, którą odbył w czasie udzielonego mu urlopu. Owiany jeszcze dymem lokomotywy, z świeżem wrażeniem czarownych widoków okolic nadreńskich, wstąpił w próg kawalerskiego swego mieszkania i zatrzymał się z uczuciem pewnego niesmaku.

Zachodzące słońce sierpniowe przedzierające się przez pożółkłe firanki jutowe oświetliło jaskrawo wszystkie kąty skromnego pokoju, który mu służył za salon i pracownię. W tem świetle nieszczególnie wyglądała, wyszarzana nieco sofka, pokryta wełnianym rypsem, ozdobiona porcelanowymi guzikami; przez zakurzone szyby obok stojącej szafki widać było pandekta, księgi ustaw i rozporządzeń i t. p. ujęte w szare okładzinki; — tylko kronika rodzinna domu von Gehren wyróżniała się ozdobną oprawą, z złoconym na grzbiecie tytułem. Posługacz publiczny złożył kuferek podróżny na stołku tuż obok drzwi wchodowych i oddalił się wśród niskich ukłonów.

Po kilkutygodniowem ruchliwem życiu, urozmaiconem coraz nowszemi wrażeniami, uczuł się Roman Gehren w swojem pomieszkaniu jak w więzieniu. Zdala dolatywały dzwonki i świstania konnej kolei miejskiej, turkot dorożek i gwar ruchliwego życia stolicy.

Gehren sposępniał na widok niewesołej swej klatki, w której tylko z konieczności przebywał. W całej jego postaci, wyniosłej i nacechowanej pewną wyższością, przebijała pewna duma, nie ta jednak, która odstręcza, lecz przeciwnie pociąga ku sobie i nakazuje szacunek. Przeszedłszy się kilka razy po pokoju, spoglądnął z westchnieniem przez okno na przyległy park i stanął przed biurkiem, na którem posługaczka poskładała listy i korespondencje nadeszłe podczas jego nieobecności.

Niedbale przerzucił kilka listów i nieotwarte usuwał na drugi koniec, jeden zatrzymał w ręce.... na kopercie poznał pismo siostry, która od roku bawiła w domu owdowiałego pułkownika jako towarzyszka jego córki.

Co mu siostra donosi? czy może ziściły się jej nadzieje, o których wspominała przed kilku tygodniami?

W miarę czytania ściągał brwi chmurno nad oczyma, a na twarzy zarysował się dziwny smutek i coś jak rozczarowanie.

Siostra mu donosiła, że opuszcza zajmowane miejsce, że pułkownik zaręczył się z jakąś obcą damą, i że zostaje tylko, aby nowej gospodyni oddać swoją pupilkę i klucze, poczem jedzie do starej ciotki, gdzie zamierza czekać nowego obowiązku. Najmniejszej wzmianki o nadziejach, które z poprzednich listów przebijały, tylko ostre nieco scharakteryzowanie przyszłej pani pułkownikowej, córki fabrykanta czernidła do butów i kilka zamazanych liter od łez na nie upadłych wskazywały dość jasno o usposobieniu i uczuciach piszącej.

Gehren rzucił list z niechęcią.

Pierwsza zaraz wiadomość dotknęła go niemile. Wyrwał się na kilka tygodni z ciasnej atmosfery codziennych obowiązków, żeby odetchnąć swobodniej, zapomnieć na chwilę o smutnej rzeczywistości i pokrzepić ducha do dalszej walki z przeciwnymi losami — a tu za powrotem, na samym wstępie nowe rozczarowanie.

Dlaczego przywiązywał jakąkolwiek wartość do tych nadziei, które siostra roiła? Znał dobrze kobiety

i wiedział, że łatwo biorą najlżejsze pozory za rzeczywistość, i że pierwsza lepsza grzecznostka ze strony mężczyzny w ich oczach i fantazji przybiera kształty miłości.

Doświadczał na sobie samym prawdy tego dowodzenia.

Przybywszy przed rokiem do stolicy, poznał na wieczorku u prezydenta pannę Helenę Althaus, która wyróżniała się korzystnie od reszty zebranej tam płci pięknej.

Wprawdzie toaleta panny Heleny grzeszyła nieco przesadną modą, ale śliczna jej twarzyczka wyłaniała się jak wdzięczny kwiatek z pośród żółtych koronek i różowego atłasu zapiętego pod szyję stanika, tańczyła lekko jak gazella a czy prócz najwyższych obcasików i najdłuższych rękawiczek miała serce i ducha?... o to nie pytał.

Nadskakiwał jej i był dobrze widziany w domu rodziców, państwa radców Althaus.

Nawiązana znajomość trwała od roku i nastręczała młodym sposobność przepędzania wesoło wieczorków, rautów i balów. O niczem więcej nie myślał, a gdy spostrzegł, że mama panny Heleny zwykłe zresztą grzeczności za inną brała monetę, starał się na każdym kroku zbijać mylne przypuszczenia.

Od częstych zaprosin wymawiał się nawałem pracy i licznemi zajęciami, omijał bale kasynowe, gdzie na innego spadał obowiązek tańczenia z panną Heleną pozostałych jej wolnych tańców, nakładał dwa razy tyle drogi, idąc do biura, żeby nie przechodzić po pod okna państwa radców, w których panna Helena wystawała o pewnych godzinach wyczekując na niego.

Mimo usuwania się widocznego dla wszystkich miał wiele trudności do zwalczenia. Jeżeli się nie jawił na balu kasynowym, opuszczała mama z panną Heleną ostentacyjnie salę. Którędy by nie szedł do biura, spotykał zawsze obie te panie na swej drodze. Jeżeli przyszedł przeprosić za opuszczenie jakiego wieczorku, na którym nie był z umysłu, mimo solennych zaproszeń ustnych i pisemnych, zatrzymywała go mama albo na obiad, albo na herbatę i kazała mu zajadać kremy lub ciasta sporządzone rączką panny Heleny.

Narzucanie się takie człowiekowi, który wszelkimi sposobami starał się wyrwać z arkana zarzuconego na siebie, przyprowadzało go do rozpaczy.

Na wspomnienie tych przejść i takiego formalnego polowania, zrobiło mu się gorąco. Wstał od biurka, potarł wyniosłe czoło i rozpoczął przechadzkę po pokoju.

Skąd im taka myśl powstała? On prócz szczupłej płacy assesorskiej i widoków na przyszłość nie miał złamanego szeląga; a Helena?... nie trzeba było zbytniej domyślności, aby odgadnąć, że pan radca Althaus prócz miernej płacy, wystarczającej na przyzwoite życie, nie wiele więcej posiada. Matka panny Heleny pochodziła z starej rodziny szlacheckiej, ale mężowi swemu prócz tytułu nic nadto nie przyniosła w wianie.

Nie rozumiał tej kobiety. Ileż to razy pochwalała zarządzenie, które wzbraniało oficerom żenić się bez majątku. Czy sądziła że assesor w guście Romana Gehren zdolny do takiego szaleństwa? Pięknie-by wyglądał w otoczeniu żony przywykłej do modnych strojów, z kilkorgiem dzieci i płacą 800 talarów rocznie.

Rozmyślając tak nad swem położeniem dobył sakiewki i przeliczył kilkakrotnie zapas gotówki. Parę dwudziestomarkówek i trochę srebra to cała jego fortuna, która mu miała wystarczyć po koniec miesiąca a i z tego trzeba posłać coś siostrze na drogę do ciotki, która także nie wiele posiadała.

Rachunek nie wypadł pomyślnie, bo namarszczył czoło i poniewczasie żałował pieniędzy wydanych na przejażdżkę, ale wtenczas nie przypuszczał, że sprawa siostry weźmie tak niespodziewany obrót, spodziewał się czegoś zupełnie innego. — Oj, te nieszczęsne pieniądze!

Gehren zamyślił się głęboko, długo ważył coś w głowie patrząc na skromny zapas mamony, nareszcie wyrzekł z postanowieniem:

— To się musi skończyć! bogata żona oto moje hasło!

Krewni dawno mu radzili, żeby przez bogate ożenienie wrócił dawny blask nazwisku Gehrenów, ale dotychczas nie nadarzała się sposobność, a raczej wzdrygał się na samą myśl niegodnej siebie spekulacji.

Umiał się obchodzić skromnymi swymi funduszami i żył na pozór dostatnio, oszczędzając się na wszystkiem i wolał nędzne takie wegetowanie jak gdyby miał zaprzedać siebie i swoją wolność.

Wolny i niezależny mógł pieścić w duszy resztki ideałów, które pozostały wraz z wspomnieniami lat dziecinnych.

Myślą przenosił się na zamek ojcowski. Tam w komnacie wieżowej, ozdobionej herbami, siadywała w staroświeckim fotelu, przy gotyckiem oknie jego matka.

Kochał, ją ubóstwiał, a marzeniem jedynem było posiąść żonę do niej podobną. Dzisiaj czuł, że było to urojenie, że kobiety jego matce podobne nie istnieją, a dalsze oddawanie się takim dziecinnym myślom tylko na szkodę mu wyjdzie.

Za każdą cenę należało wydobyć się z nędzy materjalnej, chociażby nawet z zaparciem się własnej w obec siebie godności.

Chwilę jeszcze dumał, jak gdyby żegnał dawne wspomnienia i grzebał wymarzone ideały, przystanął, rzucił głowę w tył i ręką zrobił znak wiecznego z nimi rozbratu.

Ale gdzie szukać żony, któraby zdjęła z niego klątwę ubóstwa i dała środki do przywrócenia dawnego blasku rodowi Gehrenów?

W końcu wypadnie może przez inseraty wystawić się na przetarg publiczny i przymrużywszy oczy na źródło, z którego pochodzi cena kupna, sprzedać się tam gdzie najlepiej zapłacą.

Na samo wspomnienie podobnego handlu twarz Gehrena pokraśniała ze wstydu i oburzenia, czuł że mu krew uderza do głowy a w piersiach tchu zabrakło.

Szybkim ruchem otworzył okno i odetchnął swobodniej.

Słońce zachodziło zwolna i skryło się po za rozłożyste drzewa sąsiedniego ogrodu, przysyłając pomiędzy gałęzie ostatnie swe promienie na pożegnanie.

Gehren wychylił się z okna i zdawało się że liczy liście drzew, z takiem zajęciem przynajmniej wpatrywał się w stare, odwieczne lipy.

Błądząc oczyma po parku zatrzymał wzrok na dumnie wystających wieżyczkach zamku, zbudowanego w stylu odrodzenia, który rozsiadł się szeroko wśród różnobarwnie upstrzonych kląbów i żółtym piaskiem wysypanych dróżyn i ścieżek.

Nagła myśl przemknęła mu przez głowę, oczy rozwarły się szeroko a na ustach zawisł jeden wyraz:

— Asta Löwenstern!

Rodzice jej, wychrzczeni żydzi, pomarli przed kilkunastu laty, zostawiając Aście i jej bratu Detlewowi olbrzymią fortunę, jedną z tych, która budzi poszanowanie największych nawet finansistów.

Z Detlewem znał się dawniej i był dla młodego Krezusa ideałem człowieka, bożyszczem prawie, na niego mógł liczyć z wszelką pewnością, ale Asta?

Wejście służącej przerwało dalszy bieg myśli.

Oddano mu bilecik. Rodzina Althausów dowiedziała się już o jego powrocie i polowanie zaczęło się na nowo. Pani Althaus wraz z panną Heleną zapraszały go na herbatę, rade usłyszeć o przygodach i wrażeniach wycieczki.

Gehren tupnął nogą niecierpliwie i dosadne przekleństwo wyrwało się z zaciśniętych ust.

Odmówić niepodobna. Pani radczyni, która rządziła nietylko domem, ale i panem radcą, nie przebaczyłaby nigdy podobnego uchybienia i przez męża nie omieszkałaby przysłużyć mu się u prezydenta. Nie było rady — należało pójść mimo wstrętu i niechęci.

U Althausów oczekiwano go od godziny. Panna Helena ukryta za firanką okna salonu, poddała ścisłej obserwacji drogę, którą Gehren musiał nadejść.

Twarzyczka jaśniała zadowoleniem bezmyślnem, które daje podobnym istotom pierwsza lepsza strojniejsza suknia lub jakaś błyskotka. Pani radczyni, jeszcze nie stara kobieta, odbywała tymczasem przegląd w salonie, rozstawiała fotele, gromadziła albumy i ryciny na środkowym stoliku i wydawała polecenia stojącej w pokornej postawie pannie służącej.

Mimo wzorowego porządku i pewnej pretensjonalności do dobrego gustu, wszystko tu dziwacznie było z sobą pomięszane. Kozetki nie opierały się o ściany salonu, tylko stały w rogach pokoju wolno na ukos. Tureckie firanki przy drzwiach i oknach udrapowane niby fantastycznie wyglądały jak zmięte i zwieszały się w nieładzie. Na ścianach wisiały zielone emaliowane medaliony przedstawiające alegoryczne sceny z mitologji, a tuż obok kopja Jezusa podług Dürera.

Wszystko było w porządku, nawet róże w ogrodzie, na które padało światło okrągłych lamp, podobnych do urn, dostrajały się do tej, dziwnej w pojęciach pani radczyni harmonji.

Służba w liberji frakowej i w czarnych kamaszach uwijała się po pokojach otwierając podwoje strojnemi w bawełniane rękawiczki rękami.

Do salonu wszedł młody podporucznik, wątłej postaci, z dziecinnym prawie wyrazem twarzy, zasianej nad wargą drobnym meszkiem. Niebieskie oczy spoglądały melancholijnie z pod jasnych rzęs i wcale nie marsowo wyglądał ten syn Marsa.

— Dopiero ze służby? — przywitała pani radczyni syna, gdy ją pocałował w rękę.

— Ćwiczyliśmy po za wyznaczone godziny.

— Znowu?

— Nie mogą w marszu utrzymać kroku, zapominają komendę.

— Bo nie umiesz komenderować! — odpowiedziała pani radczyni z politowaniem.

— Nigdy się chyba nie nauczę! — zauważył nieśmiało podporucznik.

— W takim razie nie daleko postąpisz, a o adjutanturze już ani nie marzyć!

— Nie umiem jeździć.

— Ale z przygotowaniem do egzaminu wyższego także nie postąpiłeś daleko.

— Nie mam talentu do matematyki.

— Ani do gimnastyki. Tylu ludzi gimnastykuje i nic sobie nie zrobią, tylko ty jeden musiałeś złamać rękę.

— Gdyby wszyscy wychodzili cało, cóżby usprawiedliwiło nazwę „m ł y n a k o ś c i a n e g o“, jaką żołnierze ochrzcili szkołę gimnastyki. Dziwię się tylko że się skończyło na złamaniu ręki, a nie na skręceniu karku. Nie ma jednak złego coby nie wyszło na dobre. Uwolniłem się przez to od wielkich manewrów i zamiast męczyć się po złych drogach, nie dojadać, nocy nie dosypiać, odbywam lekką służbę garnizonową.

— Prawdziwy niedołęga! — westchnęła matka.

(C. d. n.)

Pogadanka.

Plotkarz? fe! — powiecie piękne czytelniczki — jak można nazwać się tak brzydko? Nie dość że wkracza w nasze atrybucje, ale jeszcze tak głośno przyznaje się do tego. Czyż to się godzi wglądać

w prywatne życie ludzi i ośmieszać ich przed światem? czy to szlachetnie ułomną naturę ludzką stawiać na pręgierzu opinji? czy to pięknie korzystać z wad ludzkich, wglądać w tajniki życia i łatwym sposobem, działając na nerwy i ciekawość czytelników, zyskać poklask pajaca? Nie, coś podobnego uczynić może jedynie człowiek, który się wyzuł...

Hola! piękne czytelniczki, hola! przedewszystkiem bez uniesień! Nie taki ja straszny, jak z nazwiska wyglądam! Gdy jednak, jak widzę, kwestja już się zanadto zaostrzyła, pozwólcie mi na małe wytłumaczenie.

Wszak zapewne przyznacie mi same, iż wszystko na świecie bez maleńkiej dozy pieprzyku jest ckliwe i nudne. Nawet kwiaty, które lubię podziwiać w wolnych od zajęcia chwilach, wydałyby mi się stokroć piękniejsze, gdyby prócz swej jednostajnej piękności posiadały w swem łonie choć cokolwiek, choć cokolwieczek pieprzyku. Nieraz patrząc na stulistną różę, pełną piękności, krasy i woni, pusta ochota mię brała, popieprzyć te różowe zwoje, a powąchawszy— kichnąć serdecznie! Bo cóż znaczy piękność, którą jedynie podziwiać można, co znaczy piękność, na której widok żaden nerw w tobie nie zagra, na którą patrzyć będziesz w niemem osłupieniu, podziwiać kształty i symetrję i odejdziesz zimny jak przyszedłeś? Ja przynajmniej nie lubię posągowych, klasycznych piękności, jak nie lubię lazuru bez skazy, bez uroczych baranków ych chmurek.

Lecz wróćmy do pieprzu, a względnie do plotek. Jak sądzę, i tym razem przyznacie mi rację piękne czytelniczki, iż plotki są pewnym pieprzykiem rozmów salonowych. Bez tych półsłówek, półuśmiechów i półspojrzeń w rozmowie o nieobecnych, jakoś nie swojsko byłoby nam w salonie. Ja jednak ze względu, iż jak wam wiadomo, słowo drukowane stokrotnie boleśniej ukłuje, niż te salonowe półsłówka, postanowiłem z mych pogadanek wykreślic wszystkie choćby jak najbardziej znane plotki, natomiast stylem plotkarza opowiadać wam wszystko, co się ogólnie słyszało na balu, ślizgawce, w salonie, teatrze lub mieście, a w najkonieczniejszym razie pod alegorją ukryć jakiś skandaliczny fakcik.

W tej niejako wstępnej pogadance nie chcę zbytecznie pieprzyć tych „Kwiatów“ lecz że to czas karnawałowy, a tem samem najpieprzniejszy, wypada coś o nim wspomnieć. Lecz cóż wspominać o karnawale, który mimo upłynionego miesiąca, niczem się jeszcze nie wsławił? W innych latach o tym czasie w skocznym mazurze poły fraków jak skrzydła wiatraków chłodziły serca rozognionych tancerzy, na piersiach dziewiczych w takt mazurowego tempa falowały bukiety koronek, gdyż za tydzień trzeba było posypać głowy popiołem, na widelec wbić postnego śledzia i w skupieniu ducha rozmyślać nad zdrożnościami, popełnionemi w szale karnawałowym.

W tym roku jednak inaczej!

Popielec gdzieś tam aż na wiosnę, to też nikt nie spieszy się z balami. Prócz kilkunastu prywatnych wieczorków, dotychczas nie mieliśmy żadnego balu publicznego. O prywatnych wieczorkach nawet „Plotkarzowi“ pisać się nie godzi, o przyszłych zaś publicznych „Kronika karnawałowa“ codziennych dzienników zbyt szeroko się rozpisuje, bym ja do tego mógł jeszcze coś dodać. Nie wiem jak się tam na nich bawić będziecie piękne czytelniczki, lecz mam wszelką nadzieję, że i dla „Plotkarza“ coś się tam znajdzie. Lecz nie bierzcie zaraz do siebie, gdy o jakiejś tam pani pisać się coś będzie. Wszelkie plotki odnosić się będą do tamtych drugich, lecz nigdy do was! broń Boże! Gdy wspomnę o jakiejś strojnisi, która na bal jeden wydała całomiesięczną pensję męża potulnego, by zaimponować swoim rywalkom do żółtodziobów, gdy wspomnę o jakiejś matce, która troje drobnych dziatek pozostawiła bez opieki na noc całą, a sama popędziła w walcowe objęcia młodzieży, gdy wspomnę o przekwitłej mamuni, która niemal dorosłą swą córkę pozostawiła w domu, a sama pospieszyła na bal, by przetrząść stare swe kości, nie obrażajcie się tem młode i starsze me czytelniczki, gdyż jak mi Bóg miły, nie was miałem na myśli. Nie myślcie jednak, iż jedynie własnemi myślami i uwagami żółciowego satyryka-plotkarza karmić was będę. Przyniosę wam zawsze przeważnie te dowcipy balowe, które młodzież zgromadzona przy kieliszku wina chórem śmiechu i wzniesieniem toastu dowcipnisia przyjmie. Ach, cóż jabym dał za to, gdyby tak cała płeć piękna, znajdująca się na którym balu, mogła choć chwilę przysłuchać się rozmowom, prowadzonym między młodzieżą przy stolikach w bocznych pokojach! Czegoby ona tam się nie dowiedziała! Jakaby to skuteczna nauka dla pań naszych była i wieleby się bolesnych zawodów i katastrof ominęło! Żebyście wy, moje panie, choć chwilę przysłuchały się tym rozmowom, prowadzonym w zaufanem kółku przy kieliszku wina, gdybyście usłyszały to nicowanie waszych wdzięków, kształtów i słów wyrzeczonych niebacznie, gdybyście usłyszały tych ludzi, którzy przed chwilą z ogniem w oku, a takim głębokim szacunkiem w obejściu i słowach do was przemawiali, gdybyście usłyszały ten cynizm wyfraczony, zatkałybyście uszy ze zgrozą, w galopadzie popędziły do garderoby i nigdy na balu się nie pokazały! Szkoda, wielka szkoda, że usłyszeć tego nie możecie!

Ale jak widzę, pogadanka moja wstępna przeciągnęła się po za zakres wyznaczony na pierwszą wizytę, pozostawiając sobie przeto już same fakta na przyszły tydzień, piszę się płci pięknej najszczerszym przyjacielem

Plotkarz.